

# Tęsknota za „etosem komunistycznym”

JACEK WEGNER

Nie mogę zrozumieć, dlaczego w miarę dogorywania III Rzeczypospolitej wychodzą na jaw jakieś pokrętności (nie chcę użyć słowa aberracje, bo mogłoby ono stać się tutaj obraźliwe) publicystów o dotychczasowej bezprzykładnej niezależności umysłowo-moralno-politycznej.

Pisałem w zeszłym roku o kreowaniu fałszywych autorytetów przez głośnego i zasłużonego w dążeniach niepodległościowych pisarza, publicystę, wyborczego felietonistę szacowanej gazety, który nieżyjących już polityków Mazowieckiego, Geremka, Kuronia nazywał gigantami w zestawieniu z dzisiejszymi, jak określał, karłami. Tak, to prawda, wymienieni byli tytanami w... serwilizmie i oportunistycznym. Pierwszy, redagując „Wrocławski Tygodnik Katolicki”, pochwalał bezprawne aresztowanie w 1953 r. biskupów Kurii Metropolitalnej Krakowskiej i skazanie biskupa Czesława Kaczmarka, a nawet uwięzienie prymasa Wyszyńskiego. Dwaj ostatni z wymienionych to zaś od początku swej działalności publicznej fanatycy („gigantyczni”) chwalczy socjalizmu marksistowsko-leninowskiego, niechby nawet dekretowanego przez PZPR, ale inną – „zreformowaną”. To źle świadczy o „Solidarności”, o nas, że daliśmy się później uwieść tym politykom. I jeszcze gorzej o wspomnianym publicyście i jego szanowanej gazecie, że AD 2013 r. formułował takie opinie. Również publicysta nieco młodszy od tamtego, też zasłużony na niwie niepodległościowej, wołał, że dzisiejszej Polsce potrzebna jest tradycja endecji. Jakiej endecji? Rusofilskiej, egoistycznie narodowej, pacyfistycznej aż do zaprzaństwa racji stanu?

Teraz nie rozumiałem jeszcze bardziej i – rzekłbym – boleśniej wypowiedzi prof. Jadwigi Staniszkis, cenionego naukowca socjologa i zarazem publicystki, której eksplikacje pisemne i ustne (np. w Roninie – klubie konserwatystów niepodległościowych) o współczesnej Polsce i w ogóle o zasadach organizacji państw demokratycznych odbierałem niczym ożywiający eliksir na pustyni głupoty. Otóż prof. Staniszkis w „Głowach pełnych marzeń”, wywiadzie wydrukowanym w „Plusie Minusie” 19-20 lipca, mówi z emfazą: „...mnie wychowano w komunistycznym etosie, że dobro wspólne zależy od mojej pracy”. Przecieram oczy. Etos komunistyczny? Nie wiem. Może dlatego, że nigdy nie traktowałem komunizmu jako ideologii „etosowej”, odrzucałem ją *a priori* i konsekwentnie. Od profesora Staniszkis starałem się uczyć pojmowania różnych etosów i nigdy nie przypuszczałem, że w polskiej aksjologii niepodległościowej jest coś takiego jak „etos komunistyczny”.

Gorzej – Staniszkis uważa, że w komunizmie dobro wspólne zależało od jej czy kogokolwiek pracy. Tysiące stron wydrukowano już, najpierw w środkach emigracyjnych, a potem w podziemiu wydawniczym, o marnotrawieniu pracy w PRL, o braku szacunku dla jej wykonawców, którymi partia komunistyczna manipulowała bez skrępowań – aż do zabijania, kiedy wychodzili gniewnie na ulice.

Przecież fermenty, oprócz marcowych, wstrząsające posadami państwa ludowego, wywoływali właśnie ludzie pracy uważający, że jest ona przez władzę niedoceniana, nie zapewnia im życia na miarę ich potrzeb i aspiracji. A nadto buntującej się tzw. inteligencji pracującej rządzący odbierali możliwości wykonywania zawodu. Wystarczy porozmawiać

z żyjącymi byłymi więźniami politycznymi, i to niekoniecznie z czasów ubeckich, ale późniejszych – również popaździernikowych, aby dowiedzieć się, jakie SB po ich wyjściu z kazamatów rzucała im kłody pod nogi, jak „karała” dodatkowo, odbierając dostęp do pracy w wyuczonym zawodzie. Ponieważ Staniszkis w przywołanym passusie odwołuje się do osobistego doświadczenia wychowawczego, to i ja pozwolę sobie skromnie tu wyznać, że moi Rodzice wychowali mnie w innym etosie i nigdy mi nie mówili o „etosie komunistycznym”, bo zapewne nie znali takiego pojęcia. I dlatego miałem w PRL ustawiczne trudności z uzyskaniem etatów, żyłem głównie z wierszówek, a pisząc, nie mogłem otwarcie, jak dzisiaj, wyrażać, mojego systemu wartości. Nasza praca nie służyła „dobru wspólnemu”, a jedynie wąskiej grupie decydentów, czy mówiąc dosadnie: grupie czerwonych feudałów. W feudalizmie zaś dobra wypracowywane nie były, przepraszam za truizm, wspólne...

Wydaje mi się, że pojęcie „etosu komunistycznego” to czysta abstrakcja. Wszelako konkrety przywoływane przez autorkę budzą jeszcze poważniejszą dezaprobatę. Staniszkis apoteozuje tzw. politykę kulturalną PRL. Píše, że książki były „niesamowicie tanie (...) kosztowały (...) 2,40 czy 2,50 zł. A wartość pieniądza porównywalna do dzisiejszej”. Z drugim członem tego przeświadczenia trudno dyskutować, gdyż trzeba by o wypowiedź poprosić ekonomistę, finansistę, żeby stwierdzić, czy tamten pieniądz był tyle wart co dzisiejszy. W każdym razie, choć książki kosztowały kilka złotych, to za złotówki do dyspozycji świata pracy były kartki na żywność (z czasem nie tylko), półki z octem, chlebem (nie zawsze) byle jak rzucanym na ladę, jabłkami i herbatą o konsystencji i smaku siana. Robotnicy, chłopci i tzw. inteligencja pracująca za pensje ledwo utrzymywali siebie i rodzinę. A jeżeli nie zdołali, kradli bez wyrzutów sumienia owo „dobro wspólne”, jak ja kradłem z redakcji papier maszynowy, bo nie mogłem go nigdzie kupić; to było owo dobro wspólne, wypracowane dzięki „etosowi komunistycznemu”.

Pomińmy jednak kwestie finansowe. Staniszkis pisze z entuzjazmem, że wskutek „łatwego dostępu do świetnej literatury wszyscy dysponowaliśmy pokaźnym kapitałem intelektualnym”. Aż korci, żeby dorzucić – co uwidacznia się we współczesnych poczynaniach polityków i mądrości dużej części społeczeństwa, która wybiera właśnie ich w wolnych wyborach.

Pamiętam kłopoty, jakie miałem od połowy lat sześćdziesiątych, kiedy wykładałem historię literatury polskiej na kursach pomaturalnych, z omawianiem poezji Miłosza, Hemara, Iłakowiczówny, prozy Bobkowskiego, Ossendowskiego, Goetla., Sergiusza Piaseckiego, Wittlina, Korbońskiego, którego w ogóle nie było w jakimkolwiek leksykonie peerelowskim. Ich książek nie można było kupić ani za 2,50 zł, ani za żadną cenę; nawet w bibliotece uniwersyteckiej, z której wówczas systematycznie korzystałem, niektóre z tych pism były w tak ścisłych prohibicach, że dostęp do nich mieli jedynie profesorowie z odpowiednimi politycznymi referencjami. A za ile zdaniem prof. Staniszkis dało się kupić dzieła Piłsudskiego, wszystkie Brzozowskiego, Swianiewicza, Józefa Czapskiego, Gustawa Herlinga Grudzińskiego? Dostałem je za darmo od państwa Romanowiczów, którzy przed upadkiem państwa ludowego prowadzili w Paryżu, opodal Biblioteki Polskiej i Hotelu Lambert księgarnię polską i darowywali książki wartościowe takim jak ja żebrakom.

Prowadząc zajęcia z kultury piśmienniczej, miałem największe trudności z omawianiem dorobku publicystycznego i historiograficznego II Rzplitej i początków Polski pojałtańskiej. Opowiadałem młodzieży niczym bajki o żelaznym wilku, niczego nie mogąc ilustrować, o publicystyce m.in. Józefa Mackiewicza, Mieroszewskiego, Tadeusza Nowakowskiego, Giedroycia, Grydzewskiego, Adolfa Bocheńskiego, Nowaczyńskiego. A o dorobku historyków Dwudziestolecia: Poboga-Malinowskiego, Haleckiego, Szymona Askenazego, Mariana Kukieła

nie mogłem nawet wspomnieć, bo jeszcze nie byłem na Zachodzie i ich dzieł nie poznałem. Słyszałem jedynie o nowych dokonaniach Marka Hłaski po jego wyjeździe na Zachód, dochodziły też słuchy, że młodzi krajowi prozaicy wydawali w paryskim Instytucie Literackim drapieżną antypeerelowską prozę w rodzaju „Cudownej meliny” Kazimierza Orłosa, którą przeczytałem już w kraju, pożyczwszy od zaufanych znajomych.

Potknąłem się w latach siedemdziesiątych na „Dziełach wszystkich” Żeromskiego. Ktoś ze słuchaczy, bo sam tego nie wiedziałem, zwrócił uwagę, że nie są to jednak „dzieła wszystkie”, bo brak eseju o plebanii w Wyszkowie. Dopiero podziemna oficyna wydrukowała ten maleńki utwór jako dopełnienie „Dzieł wszystkich”.

Wreszcie, kiedy opinia publiczna poznała Leszka Kołakowskiego „Główne nurty marksizmu”, w których autor rozliczał się ze swoją dawną wiernością tej ideologii? Wtedy dopiero, gdy książka była wydrukowana najpierw w Paryżu, a później w tzw. drugim obiegu, poza cenzurą.

Właśnie. Owa obfitość tanich książek, o jakich z zachwytem wywodzi profesor, była, to prawda, rzeczywista. Lecz edytowane dzieła były albo ideologicznie czy politycznie neutralne, albo wręcz akceptujące *status quo*. Cenzura czuwała, żeby żaden utwór niechciany przez partię nie znalazł się w obiegu. Pieniężna dostępność do, powiedziałbym, „odcenzurowanych” czy „wycenzurowanych” książek, niektóre, zwłaszcza z literatury obcej, były w rzeczy samej nadzwyczaj wartościowe, nie jest wcale pochwałą tzw. polityki kulturalnej partii o „etosie komunistycznym”. A stanowi jedynie część prawdy. I zdumienie ogarnia, że Staniszkis zachwyca się owym bogactwem, tak jakby nie wiedziała o tej polityczno-ideologicznej manipulacji, selekcji, władzy państwowej.

Nawet słownik Stanisława Szobera został zmanipulowany. Autor wydał go w roku 1937 pod tytułem „Słownik ortoepiczny”. W Polsce ludowej został, jak to się eufemistycznie określało, przeredagowany przez Witolda Doroszewskiego i wydany pod tytułem „Słownik poprawnej polszczyzny”, wszelako z nazwiskiem Stanisława Szobera. Korzystający zeń jeszcze dziś przecierają oczy, gdy czytają w hasłach przykłady z pisarstwa Żukrowskiego czy Andrzejewskiego o pochodach pierwszomajowych. Przy czym wydawca (Państwowy Instytut Wydawniczy) nie zaznaczył owych dopisków. W rezultacie ów słownik Szobera-Doroszewskiego przeosobliwie łączy przepiękną polszczyznę Dwudziestolecia z językiem powieściideł polskoludowych. Egzemplarz szóstej edycji (bez podania roku) tego słownika wcale zaś nie był tani – kosztował 100 zł.

Staniszki przypomina, że jeszcze przed 1956 r. powstała słynna Biblioteka Filozoficzna wydająca m.in. „Rozważania dotyczące rozumu ludzkiego”. Johna Locke’a. Widocznie zapomniała dodać, że i Państwowe Wydawnictwo Naukowe publikowało dzieła filozoficzne, przede wszystkim wielokrotnie „Historię filozofii”, powstałą w 1931 r. Władysława Tatarkiewicza, cenioną na całym świecie za erudycję autora i przystępność wywodów. Ale coś za coś – masowe nakłady za spełnienie ideologicznego zapotrzebowania. Jakoż Tatarkiewicz i wielu innych naukowców, pisarzy i publicystów płaciło partii rządzącej trybut za wydawanie swych dzieł, wprowadzając do nich żądane treści ideologiczne o funkcjach indoktrynacyjnych. Władysław Tatarkiewicz w PRL poszerzył oryginał swego znakomitego podręcznika o opisy dokonań pisarskich Lenina i Stalina. Obaj bolszewicy zasłużyli na wpisanie ich w poczet filozofów światowych, jak nie przymierzając Hilarego Minca do grona teoretyków nowoczesnej ekonomii. Nie wiem, co było lepsze dla kultury polskiej – wielokrotne edycje tej znamienitej „Historii filozofii”, „wzbogaconej” o opis prac publicystyczno-politycznych bolszewickich krzewicieli marksizmu, czy niepublikowanie bez zezwolenia tymi nazwiskami (i zdjęciami – podobizna Lenina jest np. w siódmym wydaniu wydrukowana na całej stronie).

A jak borykali się z cenzurą socjologowie Maria Jadwiga Ossowska z mężem Stanisławem, by móc publikować książki bez jadu ideologicznego – profesor socjologii Jadwiga Staniszkis wie o wiele lepiej od niżej podpisanego. A jednak nie wspomina o tym ani słowem. Identycznie jak nic nie mówi o Józefie Szczepańskim, który w latach siedemdziesiątych przygotował na zlecenie PZPR, do której należał, „Raport o stanie oświaty”. Władza nigdy go w całości nie podała do wiadomości publicznej, albowiem ujawniał za dużo, więcej niż chciała partia, obszarów zacofania intelektualnego. Nie godzi się, by profesor socjologii ignorowała te fakty i zjawiska z własnej profesji, których wymowa podważa jej dzisiejszą publiczną chwałbę oświaty PRL.

Właśnie! „Tylko że szkoła komunistyczna – konstatuje rozentuzjasmowana profesor – dawała dzieciom ze świata robotniczego szanse nadrobienia (...) różnic”. To była „prawdziwa” demokracja, istna materializacja „etosu komunistycznego”, wszak ci, którzy mieli tzw. niedobre pochodzenie, byli niedopuszczani do wyższego wykształcenia i często kierowani do paramilitarnych oddziałów Służby Polsce lub do kompanii wojskowych przymusowo pracujących w kopalniach, niczym w łagrach czy obozach koncentracyjnych. A owym „dzieciom ze świata robotniczego” władza rzeczywiście „dawała szanse nadrobienia różnic” – jak przystało na „etos komunistyczny” – dzięki punktom preferencyjnym. Teoretycznie: im z większych nisz społeczno-oświatowych, tym więcej owych punktów uprawniających do zapisania w poczet studentów. Wszelako pod jednym warunkiem: że światopogląd, system wartości moralno-politycznych owych „preferowanych” był „etosowy”, tożsamy z „siłą przewodnią narodu”, czyli tzw. linią PZPR. Jeśli kandydat na studia, zwłaszcza humanistyczne, chłopskiego lub robotniczego pochodzenia przejawiał poglądy nie do zaakceptowania przez sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej, to fora ze dwóra. Nawet w czasie studiów. Znam te praktyki z własnego doświadczenia. Kolegę i mnie chciano w 1961 r. wyrzucić z III roku pod byle głupim, sprowokowanym pretekstem. Uratował nas niezapomnianej pamięci rektor Józef Pieter, autor słynnej swego czasu „Pracy naukowej” – kompendium wiedzy potrzebnej (wtedy!) do pisania rozpraw naukowych, oraz determinacja koleżanek i kolegów z kilku roczników, którzy zgromadzili się pod salą, gdzie obradował „sąd” senacki z groźbą, że po wyroku skazującym wyjdą gromadnie na ulice z odpowiednimi transparentami i okrzykami.

W księgarniach półki uginają się pod ciężarem książek demaskujących „etos komunistyczny”. Toteż sądzę, że każdy, kto wypowiada się o dziejach Polski po 1944 r., powinien znać choćby część tych opracowań.

Czy trudno intelektualistce, profesor socjologii zrozumieć, że półprawdy czy trzy czwarte prawdy kłamią. Prawda jest zawsze jednoznaczna i niepodzielna, inaczej przepoczwarza się w oszustwo.

Prof. Jadwiga Staniszkis w wywiadzie na dwie strony dużego formatu wygłosiła hymn na cześć PRL, mówiąc również, że wówczas „dostęp do kultury był na wyciągnięcie ręki. A to kultura buduje w nas chęć pójścia do przodu”. To prawda, kultura zdeterminowała większość narodu odrzucającego „etos komunistyczny”, że poszła do przodu tak dalece, iż doprowadziła do zniszczenia dyktatury komunistycznej PZPR.

Co skłoniło rozmówczynię „Plusa Minusa” do powyższych dytyrambów? Niewiedza? Niekontrolowany rozumem urok wspomnień z czasów młodości, kiedy za 2,40 zł można było kupić na przykład zupełnie niezłą książkę Karola Bunscha. Eseje Pawła Jasienicy też nie były drogie i po „Rzeczpospolitą Obojga Narodów”, w której autor subtelnie dawał upust swemu antyklerykalizmowi (to był haracz za zgodę partii na masowe nakłady), ustawiały się kolejki przed księgarnią Państwowego Instytutu Wydawniczego, tak samo jak po Koran, ale nigdy nie po Pismo Święte, bo ono było edytowane przez PAX czy Znak – wydawnictwa spoza

„etosu komunistycznego”, lecz również koncesjonowane – jak każde przedsięwzięcie publiczne – przez władzę PRL.

Co tedy zdecydowało, że Dominik Zdort, redaktor naczelny popularnego i raczej uczciwego w zasobie treści publikowanych materiałów dodatku dziennika „Rzeczpospolita”, wydrukował ten wywiad z cenioną przez środowiska konserwatywne i niepodległościowe uczoną i znamienitą publicystyką? Może chciał ją skompromitować, nie wiedząc jednak, że pomniejsza tym samym znaczenie swego dodatku, ponieważ niepokojąco zbliża się do osławionej „Gazety Wyborczej” – mistrzyni w misternym operowaniu pół- i ćwierćprawdami?